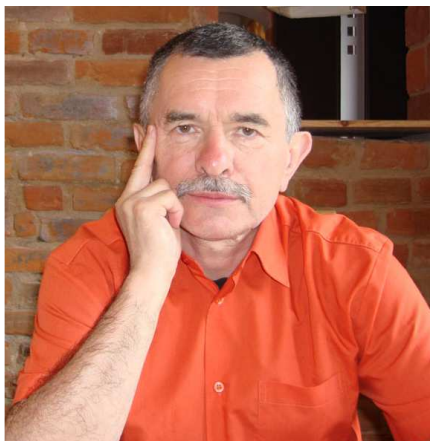


JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (47)

(fragmenty)



Kontropozycja

Zaraz potem, już na jawie, Waław Tkaczuk radiowej dwójce, w audycji poświęconej moim wierszom opublikowanym w ostatniej „Twórczości”, zauważa, bardzo trafnie zresztą, choć z wielką ostrożnością, że prowadzę utajony spór z całą postmodernistyczną, „postoharowską” formacją młodopoetycką, która zalicza się już właściwie do średniego pokolenia. Oni czytają na razie tylko siebie, ale ma nadzieję, że kiedyś złączą czytanie i mnie, i dojdzie wówczas do otwartej polemiki lub konfrontacji.

Czy dojdzie? I czy ma w ogóle sens staczenie polemicznych bojów godnych raczej teoretyków niż praktyków literatury? Robię swoje, czyli wierzę w sens pisania wierszy o ponadczasowych wartościach. Oni tymczasem piszą dla swoich kolegów – krytyków i kolegów-poetów, stosując się do wąskiej pokoleniowej optyki. Za chwilę staną się jednak też starzy i tracą czytelników, bo utwory adresowali do kolegów z tej samej generacji, którzy tymczasem przeistoczą się w dorobkiewiczów nieczytających już buntowniczych wierszy. Nowi młodzi zbuntowani zaś znajdują sobie swoich młodych zbuntowanych Wojaczków.

W moim przekonaniu liryka musi mieć ambicję wyluskiwania z codzienności chwili wiecznej i docierania do jak najszerzej liczby odbiorców, nie rezygnując równocześnie z wysokiego poziomu artystycznego. Kwadratura koła? Dlaczego? Mam nadzieję, że słuszność przyzna mi następne pokolenie, wnuków. Są już pierwsze jaskółki. Parę dni temu dostałem mejla od nieznanego mi dotąd 26-letniego poety Grzesia Kwiatkowskiego z Gdańska: „Nie zwracam się do Pana przypadkiem. Zwracam się z rozmysłem właśnie do Pana. Jestem całkowicie niezadowolony z poezji polskiej. Czytam tylko Miłosa, Herberta, Różewicza i Roberta Lowella. I nagle trafiłem w empiku na Pańską książkę *Taniec z*

ziemią, która mnie urzekła.

Byłem przekonany, że cała nowa literatura tkwi w błędzie, że gdzieś się zagubiła i zapomniała, iż istniał Bruno Schulz albo Witkacy. I nagle czytam wiersze, piękne, przejrzyste i czułe. Dziękuję”.

Taniec z ziemią urzekł niedawno Izę Mięgał, repatriantkę z Kazachstanu piszącą wiersze i opowiadania, a także innego 25-latka, poetę i recenzenta Artura Majera z Brzegu, który poprosił mnie w związku z tym o długi wywiad do pisma „Red”, uzasadniając wybór tym, że również nie utożsamia się ze ślepymi ulicznymi polskiej poezji, uważanymi dziś za główne trakty.

Może to jaskółki nie czyniące wiosny? Sądzę jednak, że wcześniej czy później nastąpi zmiana warty. W przeciwnym razie, jeśli najpiękniejsza sztuka operowania słowem nie zwróci się w stronę czytelnika, to będzie wieść pokątny abstrakcyjno-muzealny żywot albo powoli obumierać z braku odbiorcy. A w to nie wierzę, skoro instynkt samoobronny pozwolił jej przetrwać tysiące lat, choć przecież zdarzały się w jej dziejach jeszcze bardziej barbarzyńskie okresy...

Łosoś a wspomnienia amerykańskie

Moim ulubionym daniem stał się od jakiegoś czasu łosoś na ruszcie serwowany z cacykowym sosem, sałatką, cytryną i opiekankami ziemniakami.

Łosoś w oprawie krakowskiego rynku widocznego przez szklane drzwi w restauracji rybnej smakuje mi wyśmienicie, choć przez długie lata nie tykałem się ryb w ogóle, podobnie jak grzybów, których zapach przyprawiał mnie o mdłości. Zwrot w stosunku do łososia nastąpił – mówiąc górnolotnie – na początku trzeciego tysiąclecia. I to nie w Polsce, lecz w Ameryce, gdzie po raz pierwszy zasmakowałem w tej zagadkowej – niemal tak samo jak człowiek – istocie...

Dziś wybrałem się do mojej ulubionej restauracji na obiad i piwo żywieckie z Bogusiem Żurakowskim, prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Krakowie, z którym widuję się ostatnio rzadko. Widok łososia na talerzu nasunął nam oczywiście amerykańskie wspominki sprzed paru lat, kiedy to obaj spotkaliśmy się w zachodniej części USA, w Moscow w stanie Idaho. Skąd Boguś się tam wziął? Ot, najnormalniej w świecie – spadł z nieba ten prawie stukilowy poeta! Prosto w objęcia mojego przyjaciela Leszka Czuchajowskiego, u którego gościłem od miesiąca. Gdy Leszek dowiedział się, że nasz kolega po piórze znajduje się w Seattle u córki, postanowił go zaprosić do siebie. Z Seattle do najbliższego od Moscow lotniska w Spokane tylko 45 minut lotu malutkim samolotkiem. No i patrzymy, a postawny Bogusław o prezenji najbardziej amerykańskiego Amerykanina, wysiada i z miejsca zaczyna gadać. O czym? Oczywiście o Indianach. W końcu byli

kiedyś bohaterami naszego dzieciństwa... Naczytałem się i ja o nich sporo w pacholęcych latach, gdy pasłem krowy i nawet przez myśl mi nie przyszło, że znajdę się kiedyś w stronach opisywanych przez Londona, Corwooda, Coopera czy Maya.

– Czy pamiętasz – przypominam dziś Bogusławowi – że następnego dnia w Moscow rozmawialiśmy też dużo o łososiach?.

– O tak – dopowiada – zwiedziliśmy wtedy pobliski rezerwat Indian w Lapwei i kasy na gry prowadzone przez Indian, a także miejsca, gdzie przepływają łososie, które były kiedyś źródłem pokarmu Indian. Funkcjonowały w ich wierzeniach jako święte, magiczne ryby, których podobizny widniały na wielu totemach.

Niestety łososiom podobnie jak Indianom też zagroziło wyginiecie, choć trzeba przyznać, że Amerykanie dołożyli wszelkich starań, aby temu zapobiec. W końcu zawsze przynosiły gospodarce amerykańskiej ogromne zyski. Na eksporcie tych ryb, dochodzących w swojej wadze nawet do 40 kg, zarabiała się wiele setek milionów dolarów.

Co się stało, że z ponad szesnastu milionów łososi, przepływających kiedyś rokrocznie rzeki regionu Pacific Northwest, przetrwało do dziś tylko około trzech milionów? Odpowiedź jest prosta. Przyczyniła się do tego wszechwładna cywilizacja, a przede wszystkim zbudowane przez człowieka zapory wodne...

Oto fragmencik dotyczący tych kwestii. Moje wspomnienie włączyłem do Księgi Pamiątkowej wydanej na cześć Żurakowskiego, który obchodził wczoraj w Jamie Michalikowej 50-lecie twórczości. Przeglądamy ją wspólnie przy łososiu, kontynuując amerykańskie wspominki:

O tym jak Amerykanie liczą ryby

O zaporach i łososiach zgadaliśmy się ze współtowarzyszami podróży w trakcie naszej samochodowej wyprawy do Montany. Mijaliśmy po drodze tamy na Columbia River, potem na Snake River i w pewnej chwili postanowiliśmy się im przyjrzeć z bliska.

– Pokażę wam – oznajmił Leszek – jak Amerykanie liczą ryby!

Po pokonaniu karkołomnych zakrętów i zjechaniu z gór ku dolinie, oczom naszym ukazały się potężne urządzenia zapory oraz elektrowni wodnej. Weszliśmy do jednego z betonowych pomieszczeń i nagle poczuliśmy się jak w baśniowym świecie. Za oszkloną ścianą płynęła schwycona w pułapkę akwariowego korytarzyka woda z Columbia River. Przez ów korytarzyk przeciskały się (cóż za wyrafinowana sztuczka konstruktora zapory!) łososie, pstrągi i inne nieznanne mi ryby tej rzeki. Siedząca w kantorku kobieta liczyła je, to znaczy co jakiś czas przyciskała pod stołem jakiś guzik, równocześnie czytając gazetę.

cdn.